

MUZEUM DOMOWE

A L B O

CZYTELNIA WIECZORNA.

D Z I E Ł O

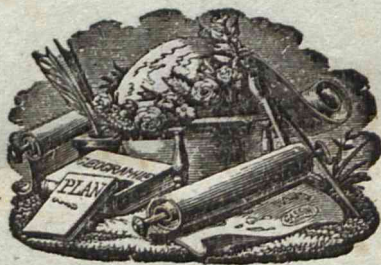
POŚWIĘCONE HISTORRYI, STATYSTYCE, MORALNOŚCI, NAUKOM,
SZTUKOM PIĘKNYM, I LITERATURZE KRAJOWEJ.

Z 200 RYCINAMI.

P R Z E Z

F. S. DMOCHOWSKIEGO.

ROK 1837.



WARSZAWA,

W KSIĘGARNI F. S. DMOCHOWSKIEGO PRZY ULICY MIODOWEJ N^o 470.



1 8 3 7.

ZA POZWOLENIEM CENZURY RZĄDOWÉJ.



5-2846

W DRUKARNI POD FIRMA J. WĘCKIEGO.

61 / 247 K. - 160.



CZYTANIE.

OBRAZY TOWARZYSTWA

WŁADYSŁAW I JEGO KUZYNKA.

ROZDZIAŁ I szy.

Są ludzie którzy wątpią o wszystkim, są tacy którzy śmieją się ze wszystkiego, a wielka liczba mniema, że do wszystkiego jest zdolną.

Wątpić o wszystkim, to rzecz bardzo wygodna, wówczas bowiem nie zadaje się tej pracy, ażeby zgłębić i uczyć się; zaprzecza się po prostu temu czego się nie rozumie. I tak, widziałem iż wiele osób ruszało ramionami gdy im powiadano jaka jest odległość słońca od ziemi; mówili że nikt tam nie mógł dojechać, a wychodząc z tej zasady nie chcieli wierzyć w astronomią. Sekta Pirronistów jest bardzo liczną.

Plus negare potest asinus quam probare philosophus.
(Więcej może zaprzeczyć osioł aniżeli dowieść filozof.)

Śmiać się ze wszystkiego, jest także bardzo łatwą rzeczą. Ach mój Boże! iluż to ludzi uchodzi za dowcipnych dla tego że się z innych naśmiewają. Nędzny to jest dowcip i najciaśniejsze głowy posiadają go chociażby odrobinę. Wszystko staje się powodem śmieszności temu, kto się za nią ubiega, nawet i szczytność sama (a zwłaszcza szczytność naszych tegoczesnych autorów) Jeżeli ci się podoba, możesz śmiać się na wystawie arcy-dzieła traicznego, albo też na akademickiej przemowie: na to potrzeba tylko mieć ochotę.

Nareszcie, jak to już powiedziałem, są ludzie, którzy nie powątpiewają o niczym, którzy rozumieją że są zdolni do wszystkiego, do wszelkiego powołania; że posiadają wszelkie talenta, że jeżeli czego nie u-

mieją to tylko z tój przyczyny iż sobie niezadali tyle pracy ażeby się nauczyć, lecz mogliby w tém celować; że jeżeli czego nie robią, to tylko dla tego że nie chcą wziąć się do roboty: gdyż posiadają wrodzoną umiejętność do wszystkiego, robiliby złoto gdyby je robić można było. A tymczasem, proszą o pożyczanie niebieskiego papierka, bo zazwyczaj ci ludzie umiejący wszystko, nie umieją zarobić sobie na kawałek chleba.

Do czegoż zmierza ten wstęp filozoficzny? zapytacie się moi czytelnicy. Oto do tego, iż młody Władysław C..... którego historią opowiem, należał do tój ostatniej kategorii. Lecz nim go lepiej dam poznać, pozwólcie ażebym was przeniósł do małego pomieszczenia, na trzecim piętrze w porządnym domu na Nowém Mieście.

Tam, w pokoju, który był razem bawialnym i sypialnym, a którego meble proste lecz gustowne oznaczały porządek i byt dobry, trzy osoby siedzą przy okrągłym stoliku, na którym stoi lampa z daszkiem blaszanym.

Było to wieczorem w zimie; gotów jestem powiedzieć wam i godzinę i jak wówczas było na dworze, jeśli tylko zechcecie.

Najprzód widzicie młodą osobę, mającą około dwudziestu lat, piękną szatynkę z czarnemi i łagodnemi oczyma (co nie jest rzeczą niezgodną) na jój twarzy rozlany jest powab, który podoba się i przyciąga od razu. Jój włosy pięknie ułożone, spadają w dużych puklach po obu stronach twarzy, lecz nie zastaniają wysokiego i białego czoła, na którym fałsz i kłamstwo nigdy postać nie mogą. Ta młoda dziewczyna, zowie się Konstancya T... jest kuzynką Władysława C..... o którym już namieniłem.

Przy Konstancyi siedzi druga panienska. Wyobraźcie sobie tę fizognomiją figlarną i wesołą z której nigdy uśmiech nie schodzi, usta średniej wielkości, lecz dość przyjemne, oczy bardziej złośliwe niżeli wielkie, nos raczej mały niżeli kształtny, w ogólności rysy bardziej figlarne niżeli ładne, a mieć będziecie obraz panny Pelagii przyjaciółki Konstancyi.

Trzecia osoba, jestto młody człowiek, mający około 26 lat, bardziej brzydki niżeli przystojny, nieco ospowaty, z nosem za grubym, z czołem za niskim, z oczyma zbyt jasnymi, lecz który okupuje to wszystko, postawą nieśmiałą i skromną, już nie będącą w modzie u młodzieży.

Ten młody człowiek ubrany porządnie lecz bardzo skromnie, siedzi od strony kominka i czyta dwom panienskom siedzącym nad robotą.

»W środku lasu wznosiła się stara kaplica waląca się w gruzy, a w której kruki,

»puszczyki i sowy założyły ulubione mieszkanie waleczny Adhemar.

O Boże! panie Dobroduski jakże źle czytasz! rzekła panna Pelagia przerywając mu w samym środku komnaty. Czytasz, czytasz, mieszasz jedno z drugim, nie podobna zrozumieć.

—»A przecież zatrzymuję się na punktach i komnatach.

—»Nie wiem czy puszczyki czyli waleczny Adhemar zamieszkiwał w stariej kaplicy?

—»Zacznę raz jeszcze, panno Pelagio.

»W której kruki puszczyki i sowy, założyły ulubione mieszkanie, punkt. Waleczny

»Adhemar, nie lękał się wuijść wśród zwalisk, o samej północy....

—»O! co ty panie Dobroduski nie byłbyś tak odważnym.

—»A to dla czego?

—»Gdyż mniemam że jesteś tchórzem.

—»Panno Pelagio, nie jestem junakiem, zapaleńcem, to prawda, lecz proszę mniemac, że gdyby wypadło bronić cię, ratować w niebezpieczeństwie, nie by mię nie zatrzymało.

—»A tymczasem, boisz się iść po ciemku po schodach.

—»Bo schody są tak wywoskowane na pierwszym piętrze, iż lękam się abym nie spadł.

—»A prawda, przyświetle nie tak jest śliżgo. Ach! ach! ale czytajże dalej.

»Pośród zwalisk, o północy xiężyc świecił w pełni, a jego światło tworzyło w lesie tysiące fantastycznych obrazów które....

—»Gdzież się podziała moja igła? tylko co miałam ją w ręku. To jest prawdziwa igła angielska.

—»Poszukam ją na ziemi.

—»Ach! otóż jest. Jakżem nieuważna! była w robocie.

»Tysiąc fantastycznych obrazów, które bytyby mogły przestraszyć każdego innego, nie zaś walecznego i szlachetnego rycerza, który....

— Mój napastrzek upadł na ziemię! O Boże! jakże mi się wszystko nie wiedzie. Muszę go znaleźć, mój napastrzek ze stoniowej kości, gdyżby można nadeptać na niego i zgnieść go, a jest to podarunek od mego Wujaszka, co mi się nie często zdarza... Ach! oto jest, leżał na moich kolanach. Czytajże Panie Dobroduski, zatrzymujesz się co chwila, jakże możemy zrozumieć co czytasz?

»Nie zaś szlachetnego i męznego rycerza, którego odwaga nigdy się nie zachwiała. Lecz młody Adhemar, wydobycy, wszyszy spadę z pochwy....

Ach! co za niedorzeczność! ponieważ dobywa szpady, to rzecz oczywista że ją do-

bywa z pochwy. To jest twój dodatek Panie Dobroduski.

— Nie panno Pelagio nic nie przydaję; a jeśli zechcesz zobaczyć.

— Nie potrzeba, czytaj pan dalej:

„Z pochwy, wszedł bez wachania się, pod ciemne sklepienia stariej kaplicy, a pod jego nogami skrzyptały stare flizy posadzki.“

— „Powiedz mi Konstancyo, czy cię to bawi? Mnie się zdaje że w tem nie ma żadnego związku, żadnego zajęcia; wolałabym historią o Magiellonie; a przytem pan Dobroduski czyta tak jednostajnym tonem, iż zdaje mi się że słyszę szafamajkę ślepego dziadka.

Aż dotąd milczała Konstancya; pozwalając swojej przyjaciółce dokuczać panu Dobroduskiemu, mało zważała na czytanie, lecz często zwracała oczy na zegar stojący nad kominkiem, a na którym wybił już kwadrans na dziewiątą. Konstancya wdychała, widząc że wieczór upływa a jej kuzyn Władysław nie przychodzi: gdyż młoda dziewczyna kochała go czule. Konstancya wychowała się razem z Władysławem; ich matki były ciotecznymi siostrami, obie owdowiały bardzo młodo i przyrzekły sobie iż nie pójdą za mąż i wyłącznie poświęcą się wychowaniu swoich dzieci.

Obie siostry mieszkały razem, a najmilszy ich zamiar był ten, ażeby z czasem zaślubić Władysława z Konstancją, która o lat cztery młodszą była od swego kuzynka.

Wszystko zdawało się wróżyć, iż ten związek stanowić będzie szczęście tych dwójga dzieci; kochali się jak brat i siostra, można było mniemać, że z wiekiem miłość zastąpi miejsce przyjaźni. Stosunki majątkowe zgadzały się zupełnie; każda siostra miała po cztery tysiące złotych dochodu, które w zupełności przeznaczala dla swego dziecięcia, a jednakże te damy znały komedią *Dwaj zięciowie*, graną na teatrze Warszawskim, lecz to nie zmieniło ich postanowienia; dobre matki nie wierzą w niewdzięczność dzieci i mają słusność; tak słodko jest rachować na miłość i na wdzięczność ukochanych osób. Oprócz tego, niewdzięczne dzieci nie stanowią prawidła w naturze, są tylko wyjątkiem.

Lecz dobre te matki nie doczekały spełnienia ułożonego zamiaru, Pani C. . . . umarła gdy jej syn skończył lat osiemnaście. Władysław pozostał przy ciotce i przy swojej kuzynce, której czuła przyjaźń osładzała jego smutek; lecz następnego roku Konstancya także postradała matkę i biedne dzieci zostały sierotami.

Władysław miał lat dziewiętnaście, Konstancya szesnaście; jeszcze byli za młodzi do zawarcia ślubów małżeńskich. Oprócz

tego, musiał upłynąć czas żałoby, a że nie przystoi aby młodzi narzeczeni mieszkali razem, Konstancya przeniosła się do domu Pana Oktawki, wuja swojej przyjaciółki Pelagii.

Pan Oktawka był muzykantem trzeciego rzędu; od dwunastego roku życia grał na basetli a miał wówczas lat 55, jednakże nie wiele posunął się w sztuce swojej. Namiętnie grał na basetli, a mimo tego grał dosyć miernie i czasem nie trzymał się taktu. Lecz pan Oktawka był zacnym człowiekiem, pilnym, regularnym; najpierwszy przychodził do orkiestry i nie gniewał się gdy mu na próbie trzeba było pięć lub sześć razy jeden kawałek powtarzać. Wszystkie te przymioty zjednały mu szacunek przełożonych i wymawiały mierność talentu.

Pan Oktawka nie był bogatym, chociaż w wieku naszym muzyka czyni wielkie postępy i pełno jej jest w wszystkich miejscach; lecz nie wiele można zarobić grając na basetli w orkiestrze. Kilka lekyi które Pan Oktawka dawał rano, powiększały nieco jego dochód: lecz uczniowie porzucali go, skoro tylko dobrze rozpoznali nuty. Mimo tego, poczciwy muzykant, tak rzadny w domu, jak pilny w wypełnianiu swoich obowiązków, żył szczęśliwy i spokojny, mając przy sobie swoją siostrzenicę Pelagią, psotniczkę, którą widzieliśmy jak szyla przy swojej przyjaciółce i dokuczała panu Dobroduskiemu, aplikantowi w jednej z kommissyi rządowych, dobremu chłopcu, może nawet aż za bardzo dobremu, a któren szalenie w niej się kochał.

Pan Oktawka dawał kiedyś lekcyje ojcu Konstancyi i bywał u nich czasami. Konstancya i Pelagia zaprzyjaźnili się; w młodości przyjaźń zawężuje się tak prędko!

Konstancya nie raz słyszała jak jej matka chwaliła poczciwość i dobre serce pana Oktawki; po stracie matki pomyślała, iż nie mając bliskich krewnych, w jego domu znajdzie schronienie i opiekę. Wuj Pelagii z radością przyjął młodą sierotę: byłby toż samo uczynił gdyby Konstancya nie miała żadnych funduszów, lecz młoda panna, posiadając uczciwy mająteczek, pod tym warunkiem wprowadziła się do jego domu, że płacić będzie pensją za utrzymanie swoje; tak więc pomnożył się przez to dobry byt w domu Pana Oktawki i u przyjemniło się jego pożycie.

W czasie w którym zaczyna się nasza powieść, Konstancya już od lat trzech mieszkała u pana Oktawki; Władysław miał lat dwadzieścia i cztery i nie mu nie było na przeszkodzie do zaślubienia ładnej kuzynki, która już lat dziewiętnaście skończyła i posiadała wszystko czego potrze-



SWIATOWIT, BOZYSZCZE SŁAWIAŃSKIE.

ha, ażeby zostać doskonałą młodą gospo-
sią.

Dla czegoż więc dotąd jeszcze nie zawarł się ten związek skoro nic nie sprzeciwiało się szczęściu tych dwojga młodych ludzi. Zapewne dla tego iż nie miał żadnej przeszkody, Władysław nie śpieszył się zostać szczęśliwym. Zdaje się, że ludzie do tego przywiązują cenę co im z trudnością przychodzi; jeżeli cel jest ła-

twy do dopięcia, bardzo mało znajdzie się współzawodników. I tak, Władysław pewien miłości swojej kuzynki, pewien że skoro tylko zechce, ona odda mu rękę, odwlekał ten związek, którego tak pragnęły były obie matki.

Muszę także powiedzieć, że Władysław zbyt młodo objawszy nie zły mająteczek po matce, nie wiedział jaki zawód ma obrać, a sądząc że mu się uda wszystko co tylko

przedsiewzię, już próbował kilkunastu, zatrudnień i stanów, lecz przez wrodzoną niestałość odstręczał się i porzucał jedne po drugich. A jednakże, chciał przed ożenieniem się, mieć stan pewien, majątek, a nawet i sławę, którąby przyniósł w ofierze swojej kuzynce; że zaś dotąd nie mógł dopiąć tego celu, odwlekał epokę ślubu.

Znacie teraz wszystkie osoby, o których czytać będziecie; powrócmy więc do okrągłego stolika dla słuchania dalszego ciągu rozmowy.

ROZDZIAŁ II.

Konstancya nie odpowiedziała na zapytanie przyjaciółki, tak była zamyślona, gdyż Władysław co wieczór bywał w domu pana Oktawki, a dziś jeszcze nie przyszedł chociaż na zegarze było już wpół do dziewiątej.

Pelagia uśmiechnęła się i rzekła.

—»Ach! mogę pozazdrościć Konstancyi, przez ten czas kiedy pan Dobroduski czyta, ona myśli o czém inném i nie zważa czy to jest złe czy dobre. Czytanoby przy niej gazetę warszawską, a mniemałaby że to są *Tajemnice wieży południowej*. Jaka to jest korzyść, mieć kuzyna, za którego pójdźd mamy.

—Kuzyna! rzekła Konstancya rumieniąc się i wychodząc z zamyślenia. Tak, to prawda; uważam iż Władysław spóźnił się dziśszego wieczora.

—O wiedziałam ja że o nim myślisz! tak go kochasz!

—Nie taję się z tym; moja matka zaręczyła mi z Władysławem i częs o powtarzała mi że powinnam go kochać, gdyż będzie moim opiekunem, moim mężem.

—»Jakże jest szczęśliwym ten młody człowiek! pomruknął pan Dobroduski poprawiając ogień na kominku.

—Co pan mówisz? rzekła Pelagia szyderczym tonem.

—Ja? nie wcale panno Pelagio, poprawiam ogień.

—Lecz kiedyż będzie wesele Konstancyo? tak pragnęłabym tańczyć na niem... Ubranie już mam gotowe... O! jak jest ładne!

—Czyliż mogę się spodziewać iż będę miał zaszczyt byćdż? rzekł Dobroduski bojaźliwym tonem i nie śmiejąc spojrzeć na pannę Pelagię.

—Dobrze, panie Dobroduski, zobaczymy, pomyślimy, lecz nie nudź nas przedwcześnie twojem żądaniem, Ja najprzód, jako pierwsza druchna, urzędę to wszystko, Konstancya mi przyrzekła: Wszakże

ślub, nastąpi w przyszłym miesiącu w same ostatki nie prawdaż?

—»Lecz... to zależy od Władysława.

—To rzecz osobliwsza, że narzeczony nie okazuje większego pośpiechu. Będąc na twojem miejscu, rzekłabym do niego. »Mój kuzynku jeżeli nie chcesz ożenić się ze mną, powiedz otwarcie.

—Ach Pelagio! —co za myśl, czyliż mogę przypuścić że mój kuzyn już mię nie kocha? cóż mi obchodzi kiedy będzie nasz ślub? Ponieważ pewna jestem że będę kiedyś jego żoną, dosyć mi na tém, jestem szczęśliwa.

To mówiąc młoda dziewczyna przytłumiła westchnienie, i rzekła po chwili.

—Władysław chce zajmować zaszczytne miejsce w towarzystwie, ale nie wie jeszcze jaki stan ma obrać. Żądza pozyskania chwały, wstawienia swego nazwiska, odurza go i zajmuje bez ustanku. Nie mogę mu tego mieć za złe, chociaż nie mniemam aby chwała czyniła nas szczęśliwymi. Wiesz, że najprzód bardzo lubił muzykę, uczył się kompozycyi, chciał byđ Weberem, Rossynim.

—Tak jest, i z tego wszystkiego wynikał walc któren kazał wylitografować i w którym jak mój wuj powiada, są bardzo ładne rzeczy.

—Ja nie mogłem wygrać jego walca na fleciku: odezwał się pan Dobroduski: rzecz dziwna! jak on jest trudny.

—Bo grasz bez taktu. Ach! panie Dobroduski wiem że nigdy nie potrafisz skomponować walca.

—Panno Pelagio, dwa tygodnie temu zrobiłem piękną galopadę, którą chcę pani przypisać.

—Galopadę! To będzie coś ładnego. Nareszcie Konstancyo twój kuzyn porzucił muzykę dla poezyi. Napisał komedię w trzech aktach wierszem. To była rzecz piękna.

—Na którą przez cały czas reprezentacyi sykano, nikogo nie wywołano i nie zapytano się nawet o imie autora; mruczał Dobroduski poprawiając ogień i nie postrzegając że panna Pelagia daje mu znak aby milczał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SWIATOWIT W ARKONIE.

W Arkonie, nad morzem bałtyckim, w północnej stronie półwyspu Wittow, stał za czasów Karola W. starożytny posąg bożka wendyjskiego, Swiatowita. E-ł to najwyższy bożek, sławny wyrocznią, do której z dalekich okolic schodziło się pogaństwo, badające przyszłości; coro-

cznie znakomitsi kniaziowie i panowie słowiańscy przysyłałi mu swe dary; kupcy przyjeżdżający z towarami, obowiązani byli, za pozwolenie przedawania ich tamże, najkosztowniejsze rzeczy składać bożkowi w ofierze. Nawet S w e n o król duński, aczkolwiek chrześcianin, co rok mu dary i haracz przysyłał.

Żadne też miejsce nie było stósowniej-sze na mieszkanie bogów, jak Arkona; z wysokiego przylądka można było przejrzyć znaczną przestrzeń Bałtyku. Posąg sam bożka, olbrzymiej był wielkości; miał cztery ludzkie głowy, osadzone na tyłuż z których dwie naprzód, drugie dwie w tył były zwrócone. Twarze okazywały zamyslenie; broda rozczochrana; włosy zaś, obyczajem tamtejszych mieszkanców, nieco podstrzyżone. W prawej ręce trzymał róg wykładany klejnotami, który co rok świeżem winem napełniano. Lewa ręka na boku wsparta z ciałem łuk tworzyła. (Inni twierdzą, że istotnie łuk w rękę trzymał). Nogami dotykał się ziemi. Suknia spadała aż do kolan. *)

Świątynia Swiatowita stała na rynku w zamku; drewniana wprawdzie, ale była zewnątrz i wewnątrz, z przepychem, rozmaitą rzeźbą i niezmiernemi skarbami ozdobiona: dwa przysionki prowadziły do niej, przedzielone kosztowną scianą; na około piękne zastłony i kobierce tworzyły ściany. Uchyliwszy ostatnią zastłonę, wchodziło się do samej świątyni, w której stał posąg. Niedaleko wisało siodło i musztuk bożka, tudzież inne godła jego bóstwa: nadto miecz jego ogromnej wielkości i cudnej roboty, wzbudzał podziwienie. W samejże świątyni ściany pokryte drogiemi obiciami, których kolor błyszczał jeszcze, ale wiekiem tak zbutwiały, że za dotknięciem palca kruszyły się. Nadto w tej świątyni było mnóstwo rogów rozmaitych zwierząt, po większej części kunsztownie wyrabianych. Arkona obwarowana była od wschodu, południa i północy skalistemi brzegami morza, na zachód zastaniał ją wał na 50 łokci wysoki.

*) Posąg Swiatowita wyobrażał słońce: ogromna jego postać znaczyła moc przewyszającą wszystko, cztery głowy z tyłuż twarzami, wystawiały zarazem cztery pory roku i cztery strony świata, na które równie świeci oblicze słońca: łuk i strzały brano za obfitość, której pierwszym sprawcą jest słońce rozwesalające całą naturę, podobnie, jak wino rozwesela człowieka, koń wyrażał szybki bieg tej gwiazdy. A jak widzimy że posąg swiatowita jest tworem rozsądku? a liczne własności słońca, nie mogły być ani wyraźniej, ani dowcipniej połączone w jednym zmyślnym obrazie.

Przesądni Wendzi takie w tym rodzaju warowni pokładali zaufanie, że na wieży nie było innych narzędzi wojennych, prócz chorągwi, od których się ocalenia spodziewali. Dla tejsze samej przyczyny, w czasie pokoju, zamek ten, podobnie jak inne, wcale nie był ludźmi osadzony; lecz zamknięty, polecany bywał opiece Swiatowita.

Świątynia Światowita bogato była uposażona; prócz podarunków i haraczu wyżej wzmiankowanego, przeznaczono dla niego trzecią część łupów zdobytych, pierwiastki owoców, dziesięcinę z bydła, i pogłówne od osób obojęd pćci. Na cześć Światowita i jego kosztem, utrzymywano trzysta zbrojnych jeźdźców, którzy łupy swe oddawali kapłanom. Kapłani ci, zostawali w wielkiem poważaniu u ludu, i mieli na sprawy publiczne wpływ znaczny. Im tylko wolno było ofiary sprawować, nosić długie brody, kapłanom jedynie dozwolony był przystęp do świątyni. Co dziwniejsza, najwyższy kapłan większą jeszcze od króla miał powagę. On podług upodobania, kierował wojennemi wyprawami; nawet inne sławiańskie pokolenia nie ważnego nie przedsiębrały, nie osiągnąwszy wprzód jego rady. On zawierał pokój i przepisywał nieprzyjaciołom warunki, albo jeżeli zostali pokonani, był pośrednikiem, dla wyjednania pokoju; skarbów, złożonych w świątyni, umiał użyć na swe wygody i zbytki, wmawiając w lud, że leżą zamknięte w skrzyniach.

Swiatowitowi poświęcony był koń biały, na którym tylko jeden kapłan pielęgnowający go, jeździć mógł. Kapłani wmawiali w lud, że Swiatowit w nocy się na nim przejeżdża i nieprzyjacioły bije: aby lepiej udać oszukaństwo, pokazywali nieraz rano rumaka spoconego i okrytego kurzawą, jakoby dopiero wracał z przejażdżki. Ządnej wojny i w ogólności żadnego ważnego dzieła nie przedsiębrano, nie wybadawszy wprzód przyszłości przez tego konia. Po uroczystej modlitwie, prowadził go kapłan z kaplicy za cugle przez potrójny rząd dzirydów tak, że każdy rząd prawą nogą przestępował. Jeżeli raz tylko lewą nogą przestąpił, wyprawa nie przychodziła do skutku.

Po żniwach co rok w Arkonie powszechna odbywała się uroczystość. Lud zgromadził się z całego kraju, przynosząc bogu pierwiastki zebranych owoców i plonów. Przed świątynią stały zwierzęta przeznaczone na ofiarę. Dniem wprzód, kapłan poważny, w długiej szacie, z długą brodą, z spadającymi na barki włosami, zamiatął świątynią, do której sam wolny tylko miał przystęp. Przy tej pracy wystrze-

gać się musiał, aby oddechu nie wydał, gdyż to uważano za znieważenie Bóstwa; ile razy więc oddychał, musiał zawsze wychodzić za drzwi. Pierwszemu jego zatrudnieniu było, zrewidować wielki róg, w prawej ręce Swiatowita. Jeżeli jeszcze był pełny, to wróżyło rok bardzo urodzajny; jeżeli zaś trochę napoju ubyło, to znaczyło nieurodzaj i drożyznę; i podług tych znaków kapłan nakazywał oszczędzać płonów lub też używać w obfitości. Stary napój wylewał potem bałwanowi pod nogi, napętniony róg sam duszkiem wypijał i powtórnie nałany oddawał bożkowi w ręce. Potem poświęcał bożkowi placek okrągły, takiej wielkości, że się w nim człowiek ukryć mógł: położywszy go przed sobą pytał ludu: a widzicie placek? Widziemy, — odpowiadali zgromadzeni. Za rok, już go nie zobaczycie! (i nie dziw, bo go po oddaleniu się ludu zjadał, twierdząc, że się nim bożek posilił). Potem napominał lud, aby szanował bogi, pozdrawiał go imieniem bożka, obiecując zwycięstwo i bogate łupy. Następową ogólną uczta, na którą zabijano przyniesione na ofiarę zwierzęta, i oddawano się wesołości i wszelkiego rodzaju zbytkom.

Na przypadek wojny, znajdowała się w świątyni Arkony wielka krajowa, kolorowa chorągiew (stanica). Gdy ją obnoszono, można było popełniać wszelkie bezprawia bezkarnie, burzyć miasta, kruszyć ołtarze bożków nawet obrażać i palić.

Ponieważ Arkona stolicą niejako była bałwochwalstwa słowiańskiego, łatwo pojąc, z jakimi wprowadzenie chrześcijaństwa walczyć tutaj musiało przeszkodami. Biskup Bambiński Otto, nawróciwszy Pomorzanie, chciał z miasta Usedom udać się na wyspę Rugen; ale przyjaciele jego odradzali mu, aby tego nie czynił i trzymali go niejako w więzieniu, by bez ich wiedzy potajemnie zamiaru swego nie wykonał. Mieszkańcy bowiem tej wyspy poprzysięgli biskupowi zemstę, grożąc mu śmiercią, gdyby się poważył przybyć do nich. Dla tego Otto skłonił swego kapłana Ulrycha do tego niebezpiecznego przedsięwzięcia. Jednak chwalebne zamiary gorliwego biskupa nie przyszły do skutku; albowiem okropna burza 7 dni ciągle trwająca, wstrzymała Ulrycha. Jeszcze była nie wybiła ostatnia godzina Swiatowita; Arkona była jeszcze siedliskiem bałwanów, wysoki Swiatowita zamek jeszcze panował nad morzem, i groził jego rozhułkanym wałom.

(Dalszy ciąg nastąpi)

ANIOŁ STROŻ.

Późno w noc z balu, w świecącym się stroju,
Wróciwszy Zosia do swego pokoju,
Z tańczącym sercem, z myślą rozegraną,
Gdy do modlitwy przed spoczynkiem biegła
Dziękować Bogu za radość doznaną,
Nagle swą postać w zwierciadle postrzegła.
Stanęła, żywić zapłonęło lice;
Skromnie ku ziemi spuściła zrenice.
Stoi i myśli i poirzała z trwogą
Czy prócz niej w izbie nie było nikogo.
Widać w tym wzroku, że myśl jakaś cudza,
Jój samój dziwna w sercu się obudza.
Stoi i myśli, jakaś niepojęta
Chęć, jakiś urok, tajemna ponęta
Gwałtem jój kroki ciągną do zwierciadła,
Już z ust i myśli modlitwa wypadła.
W pełnym rozkwicie jój piękność dziewicza,
I blask spojrzenia i gładkość oblicza,
I miękkość bujnych warkocza pierścieni,
Ujętych wstęgą gwiazdzistych kamieni,
I postać lekka, powietrzna, wiejąca,
Bez skrzydeł zda się ku niebu lecąca,
I pierś w nieznanym lubym niepokoju
Lekkiem się tchnieniem wznosząca z pod stroju
Wszystko ją samą cieszy i zdumiewa.
Tajna się lubość po sercu rozlewa,
Coraz w kryształce głębiej toną oczy;
Im dłużej patrzy, tym obraz uroczy
Coraz ją bardziej czaruje i nęci,
Dziś to raz pierwszy rozbiera w pamięci
Czułe zabiegi, pochlebne wyrazy,
Względy, spójżenia, co jój tyle razy
Twarz mimowolnym rumieńcem oblały. —
Dotąd w prostocie skromnej i nieśmiałej,
Widząc w nich tylko dobroć, pobożanie,
Bogu i ludziom dziękowała za nie.
Teraz — nieprawda — teraz myśli inne...
Były to hołdy jój wdziękom powinne!
I lekki uśmiech — wesela — próżności,
Nowego blasku dodał jój piękności.
Jakaż mgła nagle jój wzrok jój zasłoniła?
Twarz zadumaną ku ziemi skłoniła;
Żywszem westchnieniem pierś chwiać zaczyna...
Jakaż myśl w sercu? — Kochała dziewczyna!
Młodzian towarzysz jój od lat dziecinnych,
Wspólnik jój zabaw, jój uczuć niewinnych
Pierwszy powiernik... Rodzice weseli
Z pociechą miłość wzajemną widzieli;

A ona! — ona! — w nim dotąd jęj cała
 Nadzieja, szczęście, ufność spoczywała;
 Często się sama dziwiła dla czego
 Wszędzie jęj tęskno i smutno bez niego?
 Czemu gdy przyjdzie nie chcąc się płoni,
 Czemu się gniewa gdy nie mówi do nięj?
 Czemu wprzód sama przemówić się wstydzii?..
 Chciałaby płakać, gdy go smutnym widzi;
 Lub gdy z nią tkliwie rozmawia, żartuje,
 Tak pełne serce, tak łzy bliskie czuje,
 Iżby je ukryć, ucieka — i nieraz
 Długo się, długo modli — Ale teraz!..
 Dla czegoż teraz, raz pierwszy dziewczyna
 Z upokorzeniem te chwile wspomina?
 Myśli jęj błądzą po balowej sali;
 Wszyscy się o nią w tańcu ubiegali;
 Gdzie tylko okiem rzuciła na stronę
 Spotkała oczy na siebie zwrócone;
 Każdy chciał z jaką pośpieszyć usługą; —
 Znow we zwierciadło spojrziała i długo
 Patrzy. — Dla czegoż miałaby, dla czego
 Tak dbać, tak bać się o względy jednego?
 Gdy tylu innych, byle chęć, wzrok, słowo...
 On tylko dzisiaj z postacią surową
 Poglądał na nią zimno i nieczuło;
 I te spojrzenie wesołość jęj truło!..
 Nigdy z ust jego tych słów uwielbienia,
 Nigdy tych względów, przysług, uprzedzenia...
 Muszę być wartą ich, gdy tylu innych!..
 Jużem też przecie wyszła z lat dziecinnych!
 Czy chce mną rządzić? — on nie mój brat —
 cudzy,
 Jak każdy inny — niech widzi jak drudzy...
 Będzie się gniewał — i coż ztąd — toć przecie
 Nie ja z nim jedna jesteśmy na świecie.
 Pojdzie — niech idzie! — bylebym pragnęła
 Może ktoś lepszy.. — tu się uśmiechnęła,
 Lecz coś takiego było w tym uśmiechu,
 Że się go sama przelękała jak grzechu,
 Chciała się cofnąć — w tém lice jęj zbladło.
 Jak mgłą się całe powlekało zwierciadło,
 Krzyk skonał w ustach — musiała pozostać...
 W zwierciadle druga zjawiła się postać!
 Nie ziemską, jasną jako światło dzienne.
 Śnieżyste skrzydła i czoło promienne,
 Lilię białą w jednej trzyma dłoni.
 A lica, jakich oko nie widziało,
 Były — czy prawda, czy jęj się tak zdało?
 Do jęj kochanka podobne i do nięj. —

Strach ją ogarnął — w oczach się zaćmiło
 Krew pozimniała i serce nie biło.
 W tém ciche słowa do uszu jęj płyną:
 „Jam twój stróż Anioł: — nie boj się dziewczyno!
 „Jam twój stróż Anioł, jam jest dusza twoja!
 „Cóż jest ta piękność co tak wzrok twój ludzi?
 „Piękniejszaś w oczach Boga, niżli ludzi;
 „Dziewczyno patrzaj, jaka piękność moja!
 „Kiedy się modlisz co wieczor, co rana,
 „Ja twoje modły zanoszę do Pana!
 „Seraf z uśmiechem przed tronem mię stawi.
 „Z uśmiechem we mnie Bóg cię błogosławi,
 „I z jego woli niosę ci w powrócie,
 „Niebieski pokój i słodkie uczucie
 „Ktorem twój Anioł z swym bratem cię kocha.
 „Lecz od złych duchów idzie próżność płochą!
 „Dziewczyno! dziś się twój Anioł zasmucił,
 „Nie wysłuchany od bram nieba wrócił.
 „Widzisz tę białą lilię w méj dłoni;
 „Widzisz ten promień w około méj skroni;
 „Promień to łaski co nad tobą świta.
 „W lilii obraz twych uczuć rozkwita,
 „A z nich twe czyny i myśli Bóg czyta!
 „Póki blask świeci w całej swój jasności,
 „Póki kwiat kwitnie w całej swój białości,
 „Póty stróż Niebios z uśmiechem wesołem
 „Otwiera bramę przed twoim aniołem.
 „Lecz dziś, patrz! — blask się otoczył mgłą siną
 „Kwiat wędzną zaczął; — zgrzeszyłaś dziew-
 czyno!
 „Zgrzeszyłaś! żałuj, popraw się — masz porę!
 „Kwiat jeszcze żyje i blask jeszcze gore!
 „Skończyła jęj życie powracać zaczyna,
 Grzech swoich myśli uznała dziewczyna
 Żal ścisnął serce — i łzami zalana
 Twarz kryjąc w dłoniach padła na kolana.)
 I wśród modlitwy spojrzawszy wesoła,
 Raz jeszcze swego ujrzała anioła,
 Wznosił się w górę, lecz już kwiat był bielszy,
 I blask jaśniejszy i anioł weselszy!
 A gdy z kochankiem zmieniwszy pierścionki,
 Szła mu poprzysiądz na miłość małżonki,
 I przed ołtarzem stanawszy nieśmiało,
 Modląc się w myślach, wzrok wzniosła ku gó-
 rze,
 Anioł jęj w kadzidł ulatywał chmurze,
 I błogosławił ją lilią białą.